

## Rozmyślania



Fot. Andrzej Walter

## Wrastanie w światło. Pożegnanie Ignacego

19 lutego 2026 roku odszedł prof. Ignacy S. Fiut. Piszę te słowa z niedowierzaniem, jakby język miał się zbuntować przeciwko faktowi, który już się wydarzył. Bo jak napisać, że odszedł ktoś, kto był obecnością? Kto był głosem, śmiechem, ironią, ciepłem dłoni na ramieniu, niespodziewanym telefonem z pytaniem: „Przyjeżdżaj częściej, pogadamy”? Jak napisać, że nie zadzwoni, nie przyśle maszynopisu, nie zapyta z udawaną powagą, czy jednak nie zdecyduję się zrobić u niego doktoratu?

---

**Andrzej Dębkowski**

---

Ignacy Stanisław Fiut urodził się 12 listopada 1949 roku w Nowym Sączu. Poeta, krytyk literatury, prasoznawca, profesor filozofii w Akademii Górniczo-Hutniczej w Krakowie od 1997 roku. Ukończył biologię, a potem filozofię na Uniwersytecie Jagiellońskim. Doktorat w 1984 roku, habilitacja w 1996. Pracę na AGH rozpoczął w 1975 roku, był kierownikiem Zakładu Filozofii. Członek Stowarzyszenia Twórczego Polart, członek redakcji i Rady Naukowej „Hybrydy”, od 1990 roku należał do Związku Literatów Polskich w Krakowie. To są fakty. Daty. Funkcje. Tytuły. Można je zapisać, uporządkować, oprawić w ramy życiorysu.

Ale Ignacy nie mieścił się w ramach.

Poznałem go trzydzieści lat temu w Starym Sączu, na jego rodzinnej ziemi. To było spotkanie, które od razu miało w sobie coś z powrotu, choć przecież dopiero się poznawa-

liśmy. Prowadził mnie po mieście z pasją przewodnika i czułością syna. Każdy zaułek miał swoją historię, każda kamienica – wspomnienie, każda ścieżka – ślad dzieciństwa. Mówił o tej ziemi jak o kimś bliskim. Nie jak o miejscu, lecz jak o istocie, która go wychowała, ukształtowała, nauczyła milczenia i mowy.

Ziemia Sądecka była jego pierwszą i ostatnią nauczycielką. Wrastał w nią jak drzewo, którego korzenie są głębsze niż widać. Nawet kiedy mieszkał w Krakowie, nawet kiedy prowadził zajęcia, pisał recenzje, publikował książki, zawsze był trochę tam – na Ziemi Sądeckiej, przy matce, przy wspomnieniu domu, przy zapachu rzeki i wilgotnej ziemi. Mówił o swojej starowinie-matce z czułością, która rozbrajała jego ironiczny ton. W tych chwilach widać było, że pod maską ciętego języka kryje się chłopiec, który nigdy nie przestał kochać miejsca, z którego wyszedł.



Fot. Maria Leżeńska

Spotykaliśmy się często. W Sączu – Starym i Nowym – w Krakowie – w Pod Gruszką, Pod Jaszczurami, na ulicach, w kawiarniach, w bibliotekach. W Warszawie, w Poznaniu. Zawsze gdzieś pomiędzy rozmową a śmiechem. Ostatni raz widzieliśmy się podczas wspólnego udziału w sesji naukowej w Collegium Maius Uniwersytetu Jagiellońskiego. Pamiętam światło wpadające przez wysokie okna i jego skupioną twarz, gdy mówił – jak zawsze jasno, precyzyjnie, z charakterystycznym błyskiem ironii w oku. Nie przypuszczałem wtedy, że to będzie nasze ostatnie spotkanie twarzą w twarz.



Fot. Maria Leżeńska

Ignacy miał dar rozmowy. Nie był to zwykły dialog. To była intelektualna przygoda. Potrafił z jednego zdania wyprowadzić cały esej, z jednego żartu – filozoficzną refleksję, z jednej anegdoty – diagnozę epoki.

Kochałem nasze dyskusje o literaturze, o mediach, o kondycji człowieka w świecie, który coraz szybciej tracił sens. Był prasoznawcą,

ale patrzył na media jak na zwierciadło duszy zbiorowej. Analizował je z precyzją biologa i wrażliwością poety. Miał w sobie oba te światy: ścisłość i metaforę. To rzadkie połączenie.

Zawsze dziwił się, dlaczego nie chce robić u niego doktoratu. Pytał z przekąsem, z lekkim wyrzutem, z uśmiechem, który mówił: „Wiesz, że byłoby warto”. A ja, trochę z przekory, trochę z lęku przed odpowiedzialnością, odmawiałem. Dziś myślę o tym z czułością. Może powinienem był przyjąć to zaproszenie? Może byłoby to jeszcze jeden wspólny rozdział? A może właśnie ta nasza relacja – wolna od formalnych zależności – była piękna dlatego, że była czystą przyjaźnią, rozmową bez hierarchii.

Ignacy miał niesamowite poczucie humoru. Cięty język, który potrafił zranić, ale nigdy nie był okrutny. Ironia była jego tarczą i jego zabawką. Śmiał się ze świata, z instytucji, z literackich mód, z akademickich póż. Ale potrafił też śmiać się z siebie. Mówił o swoich słabościach z taką swobodą, jakby opowiadał anegdotę o kimś obcym. Ten dystans do siebie był oznaką wielkości. Wielu ludzi poważnych nie potrafi być poważnymi bez nadęcia. On potrafił być poważny bez patosu.

A przecież był także wspaniałym poetą. Wrażliwym i uważnym. Kto widział go po raz pierwszy – profesora filozofii, analityka mediów, krytyka literackiego – nie spodziewał się, że pod tą powierzchnią kryje się tak subtelna tkanka. Jego poezja była jak cichy strumień płynący pod kamieniami dyskursu. Przed każdą nową książką przysyłał mi maszynopisy. „Rzuć okiem” – pisał. Jakby to było coś nieistotnego. Jakby nie chodziło o jego najintymniejsze zapisy. Czytałem te wiersze z poczuciem, że dotykam czegoś delikatnego. Że powierzono mi tajemnicę.



Fot. Maria Leżeńska

Był pracusiem. W „Gazecie Kulturalnej” był stałym współpracownikiem prawie dwadzieścia lat. Zrecenzował ponad dwieście książek. Zawsze miał zapas tekstów. Kiedy inni narzekali na brak czasu, on po prostu pisał. Rzetelnie. Uważnie. Z szacunkiem dla autora i czytelnika. Należał do tych krytyków, którzy nie szukają efektownych bon motów kosztem prawdy. Jeśli krytykował – to z argumentem. Jeśli chwalił – to bez taniej egzaltacji.

(Dokończenie na stronie 16)